

Od zawsze marzyłem o własnym świecie, gdzie będę alfą i omegą, swoistym demiurgiem, który za pomocą wszechmogącego umysłu stworzy doskonałą formę i materię.

W końcu moje marzenie zaczęło się realizować. Nie wiem w jaki sposób stałem się istotą, która ma tak wielką władzę. Może to domena bogów, że nie pamiętają skąd dokładnie się wzięli, ale wiedzą, po co istnieją? Mam coś na kształt ciała, jednak przypomina ono bardziej mięsistą galaretę niż ludzką skórę i kości. Skąd wzięła się u mnie idea człowieka też nie wiem. W ogóle mało wiem, ale ludzie, którzy codziennie mnie o coś proszą, wydają się sądzić, że wiem wszystko.

Do mojej dyspozycji przypadła niewielka wyspa, mająca kształt lekkoatletycznego dysku, porośnięta licznymi palmami i usiana sporadycznymi pagórkami. Niestety w przyrodę za wiele nie mogę ingerować. Umiem wznieść jakieś małe tsunami, zwiększyć opady deszczu, czy ustanowić piekielny upał. To by było na tyle.

Największe pole manewru daje mi człowiek. Cały czas staram się stworzyć istotę doskonałą, ale zawsze coś idzie nie tak jak trzeba. Gdyby mieszkańcy wiedzieli o fakcie, iż ich stwórca jest takim nieudolnym architektem ludzkich dusz, już dawno nie stawialiby na jego cześć tropikalnych świątyń i totemów.

Pewnego dnia wpadłem na pomysł, żeby na mojej wyspie zapanowała idealna równość. Od dawna obserwowałem przeróżne konflikty na tle posiadania czegoś lub kogoś. A to mąż zabił żonę, bo posiadała kochankę, a to dziecko pobiło drugie, bo miało ładniejsze sandały i tak dalej. Skonstruowałem więc duszę z wpojonymi ideałami równościowymi. Jak się później okazało moje dzieło było na wpół idealnym tworem. Ideał przejawiał się na gruncie teoretycznym. Gorzej było z praktyką. Nikt za bardzo nie chciał dzielić się swoimi żonami, polami uprawnymi, obiadami czy sandałami. Potworzyły się frakcje, mój idealny Maks - bo tak go nazwałem - zaczął wyżywać wraz z oddanymi mu towarzyszami wszystkich, którzy nie chcieli oddawać swoich żon i sandałów. Stwierdziłem, że muszę unieszkodliwić ten nieudolny eksperyment i uderzyłem w Maksa piorunem. Ruch rewolucyjny się rozpadł i wszyscy przestali się bać o swoje żony i sandały.

Po tej próbie stwierdziłem, że tylko totalna wolność wyzwoli moich obywateli. Często słyszałem w modlitwach prośby o wyzwolenie, wolność i takie tam pokrewne życzenia. Idee totalnej wolności bardzo mocno wpoilem w najmłodsze pokolenie, licząc, że przekonają innych do zmiany postawy życiowej. Inaczej wyobrażałem sobie finał mojej ideologii. Zamiast wolności, jako wartości wyzwalającej, ludzie tworzyli zamknięte komuny, gdzie palili hasz, a jak im go brakowało robili się bardzo agresywni. Dodatkowo każda grupa pilnowała, aby nikt nie ważył się nosić sandałów z największego zakładu obuwniczego na wyspie. Na czele każdego ugrupowania stali wodzowie, którzy wymyślali wolnościowe kodeksy. Wkrótce pomiędzy poszczególnymi komuniami zaczęło dochodzić do tarć. Wiązało się to oczywiście z różnym pojmowaniem skodyfikowanej wolności. Wojna totalna wisiała na włosku, a haszu ubywało w zastraszającym tempie.

W tym momencie miałem ochotę rzucić wszystko w cholerę, albo chociaż zatopić wyspę na kilka tysięcy lat, żeby sobie od moich niewdzięcznych stworzeń trochę odpocząć. Przerazał mnie jednak fakt bez-

warunkowej nudy i zaniedbałem Armagedonu.

Jednakże odpoczynek od moich autorskich kreatur był wskazany. Stworzyłem koncepcję ateizmu, czyli niewiary we mnie. Mniej modlitw da mi przynajmniej trochę odpoczynku po tych kilku męczących stuleciach. Byłem dumny ze swojego dzieła. Dzielni ateusze chodzili po wyspie i nawracali. Starali się być jak najmniej inwazyjni. Nie palili moich świątyń, tylko delikatnie sugerowali, że w tych sakralnych przybytkach można na przykład ulokować bezdomnych. Po kilkudziesięciu latach, mało kto o cokolwiek mnie prosił. Co najdziwniejsze wyspa prosperowała coraz lepiej. Rozwijał się handel, przyjeżdżali turyści, stworzeni przez jakiegoś innego Boga. Ja natomiast w końcu mogłem sobie pospać, a przy tym nie mieć wyrzutów sumienia, że zaniedbałem mieszkańców.

Gdy tak niemo trwałem, zawieszony gdzieś pomiędzy bytem a niebytem, w końcu doszedłem do wniosku, że powinienem odwiedzić osobiście swoich podopiecznych. Odzieję się w jakieś łachmany i zobaczę z bliska jak żyją ludzie na wyspie.

Usilnie starałem się wylądować w jakimś zacnym miejscu, ale ostatecznie trafiłem na brzeg morza. Mój blady kark pieściło upalne słońce. O mały włos i odpływ zabrałby mnie z powrotem do wody. Wygramoliłem się w końcu, nasunąłem skórzane sandały i ruszyłem w głąb lądu.

Pierwszymi osobnikami gatunku, który stworzyłem byli przedstawiciele tutejszej biedoty. W lichym szalasi matka gotowała równie nędzną potrawkę z papugi z dodatkiem korzennych liści i ziół. Wywar pachniał całkiem przyjemnie, a ja poczułem po raz pierwszy co to znaczy być głodnym. Żołądek momentalnie się skurczył i jak to mawiają ludzie, kiszki zaczęły grać marsza weselnego, który miał doprowadzić do uroczystego spełnienia, dokonanego po przez jakże przyjemny akt obżarstwa.

Mały brzdąc wychylił swoją osmoloną od dymu, suchotniczą twarzyczkę. Wskazywał nam nie palcem. Miał szeroką czaszkę, wylupiaste oczy i pojaśniałe od słońca włosy. Oczy wesoło pobłyskiwały jak chochliki. Najwidoczniej sprawiałem w miarę normalne wrażenie i chłopiec wcale się mnie nie bał. Po chwili jego matka zaprosiła mnie do środka, wskazała skinięciem ręki abym przysiadł się do stołu. Siedzenie wystrugane było z długich, owalnych bali. Kobieta miała mętne spojrzenie, nieco niezdrową, przekrwioną cerę i nie pierwszej świeżości dyndające piersi. Skóra bardziej na niej wisiała niż przylegała, a na twarzy malowało się życiowe zmęczenie.

Jedliśmy w milczeniu. Malec pałaszował zawzięcie swoją porcję aż mu się uszy trzęsły z tej zapalczywości. Mlaskał przy tym i siorbał kompletnie zatracając się w pochłanianiu posiłku. Gdy półmiski zostały opróżnione kobieta zaczęła rozmowę.

— Myślałam, że to my mamy najlichszą chatę na tej zapyziałej wyspie. Ale ty wyglądasz jeszcze gorzej od nas i sprawiasz wrażenie kogoś kto nigdy nie miał dachu nad głową.

— Nie jestem stąd – skłamałem. – Wiem tylko tyle, że na to miejsce jest dla mnie obce. Morze wyrzuciło mnie na brzeg i nie pamiętam kim jestem, ani skąd się wziąłem.

— Najpewniej wyszedłeś z łona kobiety – zaśmiała się chrypliwie niewiasta.

— Powiedzcie mi – zacząłem niezbyt delikatnie zmieniając temat – jak wam się tutaj żyje?

— Bywało lepiej. Mój mąż poległ dwa lata temu w walce.

— Często wojujecie?

— Większych wojen od tamtego czasu dawno nie było. Nawet dziadek nie pamięta kiedy ostatnio przez wyspę maszerowały bardziej zwarte oddziały wojska. Co jaki czas trwają tylko zacięte potyczki o kopalnie złota. Mój mąż też go szukał i zginął przebity na wylot włócznią.

— A co to takiego, to złoto? – zapytałem z niedowierzaniem i zacząłem się coraz bardziej pocić. Uciałem sobie drzemkę na jakieś sto lat i już jakieś nowe patologie się potworzyły.

Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem, który jednoznacznie wyrażał pogardę i rozbawienie.

— Jest żółte i się świeci. Kto ma złoto, ten ma władzę i bogactwo.

Podziękowałem za posiłek i oddaliłem się od szafasu.

Zbliżałem się do wioski. Z daleka wyglądała całkiem schludnie. Oprócz szafasów, w oczy rzucały się zadbane przybytki zrobione z drewnianych podpór przykrytych grubym gontem. Z pozoru wszystko funkcjonowało jak należy; z karczmy dochodziły wesołe wrzaski, w kościołach spali bezdomni, a w szpitalach uwijały się pielęgniarce. Miałem ten komfort, że jak chciałem, to sobie po prostu każde pomieszczenie w promieniu kilkuset metrów prześwietlałem. Takie tam przywileje wszechmogącego. Jednak im bardziej zbliżałem się do zabudowań tym bardziej zacząłem odczuwać narastający dyskomfort. Dopiero po chwili zorientowałem się, co mnie tak napawa strachem. Na kamiennej dróżce leżała mała dziewczynka. Nie ruszała się. Była przeraźliwie chuda a jej ciało zdobiły liczne blizny i ropowate pęcherze. Nad sylwetką dziecka krążyły muchy. Obok, spokojnie siedział dziki, wygłodniały sęp czekający na padlinę. Za rogiem czał się wygłodniały, zdziczały pies, który też liczył na swój przydział. Poczułem jak powoli tracę przytomność. Wiedziałem jedno. Nie chcę dłużej być Bogiem.

\*\*\*

Rozjaśniło się. Widziałem jakieś rozmyte twarze, które się nade mną pochylają. Jakiś gość w białym kitlu notował coś w swoim notesie, obok całkiem zgrabna kobieta, której po policzkach ciekły łzy i mężczyzna, chyba jej mąż, ściskający mocno swoją wybranekę w czułym objęciu.

— Poznajesz nas? – zapytała.

Milczałem. Czuję jakby ktoś nagle odciął mi jakieś przewody, miałem totalną pustkę w głowie. Zamiast słów usłyszałem tylko mlask, mlask, mlask.

— To może trochę potrwać. Syn będzie dochodził do siebie powoli, proszę być dla niego wyrozumiałym. W końcu rok w śpiączce to szmat czasu – powiedział biały jegomość.

— Jaaa... kiej śpiączce? – zająknąłem się. Nie wiem dlaczego, ale każde słowo nadal sprawiało mi olbrzymią, artikulacyjną trudność. Czuję się jakbym nie mówił nic od wieków.

— Miałeś wypadek kochanie – kobieta pogładziła mnie po policzku. – Na motocyklu. Przez rok leżałeś na tym szpitalnym łóżku.

Trach i bach. Moja wyspa odpłynęła. Dryfowała gdzieś w odmętach świadomości. To dziwne nie czuć upływu czasu, to dziwne mieć pozorną władzę nad wszystkim, a tak naprawdę tylko śnić, taplać się w kreacyjnej iluzji. Kilka dni później wyszedłem ze szpitala. W drodze powrotnej do domu byłem raczej średnio rozmowny. Patrzyłem otępiałym wzrokiem na otaczającą mnie rzeczywistość. Domy, bloki, skrzyżowanie. Sklep, domy, bloki, rondo. Drzewo park, bla, bla, bla. Z zamyślenia wyrwał mnie dobrze znany widok. Co prawda nie było sępa, nie było psa, ale była ona. Mała, wychudzona dziewczynka żebrała skulona na chodniku. Trzymała w odmrożonych dłoniach wymięty kubek od kawy. Poprosiłem rodziców, żeby zatrzymali samochód. Popatrzyli się na mnie dziwnie, ale nie protestowali.

— Chodź ze mną. Od dzisiaj będziesz miała dom.

Chwyciłem ją za rękę i chciałem pomóc wstać.

Mała popatrzyła się na mnie nieco zdezorientowana po czym wrzasnęła głośno:

— Mamo, mamo, chcą mnie porwać!

Za chwilę z zaułku wychyliła się starsza kobieta obładowana siatkami z zakupami.

— Panie, weź się Pan odpierdol!

To nie moja wyspa. To nie mój świat. To tylko alternatywna rzeczywistość.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Wiktor Orzel, dodano 21.12.2012 17:05

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).